Nr. 16. We Lwowie dnia 22. kwietnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

„Bulletin Polonais“

W PARYŻU.

I.

Dobre myśli tem się różnią od dobrych chęci, że podczas kiedy drugie służą tylko do brukowania piekła, pierwsze zawsze, wcześniej czy później, krzewią się, grunt znajdują i wreszcie wydają owoc. — Ta półsmutna i pół-żartobliwa refleksja wypływa mi w pamięci, ilekroć przypominam sobie dzieje ostatniego zjazdu literatów polskich we Lwowie: jakiż piękny referat odczytał nam wówczas ks. Badeni o potrzebie informowania prasy zagranicznej o Polsce! Jakże lapidarnie brzmiały niektóre okresy mowy hr. Wojciecha Dzieduszyckiego! I nadewszystko — ile dobrych chęci, niezużytych dobrych chęci wyrażał nastrój nas wszystkich razem zgromadzonych!

Nie wiem, czy komitet, który miał zająć się wprowadzeniem w życie uchwał zjazdu, poczynił już t. zw. kroki; nie wiem, bo wisi nad tem pewna tajemnica, którą istotnie pisma zagraniczne uszanowały, jak się zdaje, całkowicie. Parę artykułów w pismach angielskich i niemieckich, parę wzmianek i korespondencji we francuskich *Journal de Geneve*, *Monde*, *Temps* zjawiło się istotnie w tym roku jak i w innych, w prasie zagranicznej. Zdaje się jednak, że płynęły one ze zwykłych źródeł dziennikarskich, mało wspólnego mających z niedawną manifestacją dobrych chęci.

I tymczasem, niezależnie od »kroków« komitetu, myśl na Zjeździe poruszana nie upadła, i nie tylko, że nie upadła, lecz rozwinęła się i w życie weszła dużo wcześniej, niż ją Zjazd poruszył, niezależnie całkiem i z inicjatywy zupełnie innej grupy ludzi. Jeżeli tak jest w istocie, możnaby słusznie zauważyć, to czem że się stało, że na obradach Zjazdu nie przyszło do zaznaczenia tego faktu? Dlaczego ani referent, ani nikt inny nie wspomniał o istnieniu organu zagranicznego, którego właśnie g ł ó w n y m celem jest informowanie zagranicy o Polsce? W wystawie lwowskiej ludzie, o których mówię, przyjęli udział, przesyłając sprawozdanie ze swej 30-letniej niemal działalności, a niektórzy z nich osobiście ją zwiedzali?... Czem-że tę niepamięć zupełną o ich wysiłkach wytłumaczyć?...

Echa lapidarnych przemówień Zjazdu trochę mi rzecz tę wyjaśniają: potrzebny jest nam organ, któryby wiernie odtwarzał główne zjawiska życia narodowego, któryby był wiernym odgłosem istniejącej polityki polskiej, któryby, wreszcie, zmusił prasę zagraniczną, do liczenia się z sobą — brzmią lapidarne echa. Tymczasem organ istniejący skromny jest i, choć wiernie stara się odtwarzać zjawiska życia narodowego, ani był nigdy echem urzędowej polityki, ani nie z m u s i ł, jak dotąd, prasy zagranicznej do liczenia się z sobą.

Widocznie tedy rzecz była zbyt małą, zbyt niedostrzegalną dla potężnego rozmachu naszych dobrych chęci i stąd nie została wciągniętą w ich bilans. A zresztą, rozumiem również, że czyny dokonane zawsze budzą pewną niechęć w ludziach, którym wystarczają projekty. W ten to sposób publiczność polska tak samo po Zjeździe, jak i przed Zjazdem, mało co lub wcale nic nie wiedziała o istnieniu w Paryżu pisma pt. *Bulletin Polonais*, wydawanego przez Stowarzyszenie b. uczniów szkoły w Batignolles od r. 1875.

Pośpieszam wreszcie wyjaśnić pewien punkt wątpliwy: *Bulletin Polonais* był niegdyś zaledwie dodatkiem o kilku stronach druku, dwa razy do roku dodawanych do sprawozdania rocznego stowarzyszenia. Oczywiście, że w tej fazie istnienia nie mógł się cieszyć wielką popularnością. Jeszcze do ostatniego dziesiątka lat *Bulletin* wychodził jako kwartalnik o 30 stronach. I nie dalej jak parę lat temu stał się wreszcie szczupłym wydawnictwem miesięcznem, wychodzącem w objętości dwudziestu kilku stron. Tak więc, mimo stosunkowo dawnej daty istnienia, *Bulletin* dopiero teraz jako tako może odpowiadać zadaniu informatora zagranicy o główniejszych bodaj objawach naszego życia. Okoliczność ta tłumaczy nam, dla czego nie wiedziała o *Bulletin*'ie szersza publiczność — nie usprawiedliwia wszakże nieuwagi pism i dziennikarzy, którzy fakt ten powinni byli znać oddawna i umieć z niego wyciągnąć pożytek.

Z drugiej strony, wymienione pokrótce etapy rozwoju pisma paryskiego, rzucają trochę charakterystycznego światła na grupę, która je prowadzi. Jest w wysiłkach tej grupy wielka wytrwałość, dużo dobrej woli, skoro potrafiła przezwyciężyć materjalne trudności wydawnictwa. Pismo zaś, które w ten sposób, choć wolno, lecz stale rozwijało się, nie jest efemerydą, na utrapienie bibljografów stworzoną, lecz manifestacją jakiejś poważnej dążności, potrzeby. I zanim zacznie z niem liczyć się prasa zagraniczna — przedewszystkiem poznać je powinien ogół polski.

Mam przed sobą roczniki tego wydawnictwa franko-polskiego i prawdziwie, nie umiem dopatrzeć się poważniejszych braków w notowaniu żywotnych spraw polskich. W roku 1894 n. p. *Bulletin* zamieszcza kilkanaście artykułów poświęconych wspomnieniom kościuszkowskim — przyczem znajdujemy tu mało znane szczegóły o broszurze z r. 1795 wydanej po francusku w Paryżu, listy Kościuszki, ładną reprodukcję medaljonu Dawida D'Angers, wyjątki odpowiednie z dzieł francuskich historyków i t. d. Dalej znajduję kilka artykułów, poświęconych Wystawie lwowskiej; kilkakrotny opis rzezi krożańskiej; bilans (bardzo dokładny) ruchu polskiego w zaborze pruskim; stałe sprawozdanie z Akademji krakowskiej; dokładne streszczenia ciekawszych aktualnych wydawnictw (Kennana n. p.); stałą rubrykę sprawozdań z ruchu literackiego, zaopatrzoną w przekłady wierszy polskich (n. p. Tetmajera) nowele tłumaczone z polskiego, przekład »Balladyny«, wreszcie kilkanaście artykułów i wzmianek głównie z historji emigracji polskiej, czasów napoleońskich i t. p.

Z drugiej strony prowadzi *Bulletin* stały bilans wszelkich opinji o Polsce lub w kwestjach Polskę interesujących, wyrażanych w prasie francuzkiej i w ogóle zagranicznej. Nie podobna mi wreszcie streszczać kronik, przeglądów politycznych i t. p. których treść krok w krok idzie za wypadkami aktualnymi, za ruchem narodowym, społecznym i literackim. Z tej wszakże pobieżnej notatki osądzi czytelnik, o ile treść pisma świadczy o jego żywotności, o tem, że dostrojonem jest w każdej chwili do tętna życia w samym kraju. Rzecz prosta, że nie wniknąwszy bliżej w ducha tych artykułów, nie można sądzić czy ta żywotność nie jest tylko pozorem, maskującym jakąś zaśniedziałą politykomanję, jakiś patrjotyzm zaściankowy lub może t. zw. niezdrowe i drażniące aspiracje? Zwłaszcza o takie »drażniące« rzeczy pomawianą bywa emigracja najczęściej — i podejrzenie to może się całkiem naturalnie zrodzić w głowie każdego. Boimy się nadewszystko, może i słusznie, samozwańczych reprezentantów narodu. Co prawda, choroba ta z emigracji przeniosła się ostatniemi czasy do kraju, gdzie grasują deputacje »czoła« narodu i proklamacje jego wątroby, ale i zagranica wolną od tego jeszcze nie jest. Otóż na razie na podejrzenie takie odpowiem cytatą z wyznania wiary samego pisma:

». . . . Uważając siebie za najbardziej wydziedziczonych, a nie najmniej przywiązanych synów ojczyzny naszej, nie mając przeto żadnej pretensji do przodowania rodakom naszym na drodze ich walk politycznych, bo to nie może być w żadnym razie rolą tych, którzy w kraju nigdy nie żyli i nie są szczegółowo obeznani z jego potrzebami i usposobieniem, będziemy tęsknie słuchali głosu z Polski, a tymczasem przypominać tu będziemy światu krzywdy naszego narodu i bronić praw jego przeciw oszczerstwu zaślepionych lub zapłaconych, a nieprzyjaznych mu publicystów«.

Nie jest to, jak czytelnik widzi, język górnolotnych manifestów ani quasi-dyplomatycznych enuncjacji. Czas ich, przynajmniej na dzisiaj, przeminął, a ludzie, zgrupowani koło *Bulletin*'u pierwsi może na obczyźnie zrozumieli swą rolę tak, jak cały kraj ją dziś rozumie. Ale nie chodzi nam o protokolarne stwierdzenie ich opinji, chodzi o poznanie tej garstki wytrwałej, ich prac i dążeń, wszak chodzi o to nam, którzy znać się i liczyć ze sobą powinniśmy bardziej, niż każde inne społeczeństwo?

Przejdziemy więc do nich.

Dok. n. *Antoni Polocki.*

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

II. Bukiecik rozmarynu.

Kroczy sobie miedzą z jednej wsi do drugiej. Mogłaby iść drożyną, coby jej znacznie skróciło drogę, ale ścieżka wiedzie piasczystym gruntem, a dziewczyna, która stąpa często po takich drogach, najniezawodniej wdowca na męża dostanie. Ah, byle tylko nie wdowca! ile razy dotknie on ręki młodej swej żony, tyle razy ponoś ukazuje się po za jego plecami nieboszczka i wyschłym palcem grozi swej następczyni. Brrr... gęsia skórka występuje na człowieku, skoro tylko o tem pomyśli.

Niesie ostrożnie coś zawiniętego w białą chuścinę, czerwony brzeżek z niej wygląda. Rzuci okiem na ten kraśny koniuszek i uśmiechnie się, spójrzy po raz drugi — i westchnie; do łez a jednocześnie i do śmiechu czuje się usposobioną. Ach, ty przejrzysty potoku, co pędzisz z gór i szemrzesz tutaj wśród kwiatów, białą pianą bryzgając, jakiś ty szczęśliwy! Nikomu chyba na świecie nie wiedzie się tak dobrze, jak tobie. Nikt i niczego ci nie wzbrania, do niczego cię nie przymusza, biegniesz wesoło dokąd chcesz, i wszędzie, gdzie tylko zasrebrzą się twoje wody, mile witają cię ludzie, a ty sam żadnych trosk nie zaznajesz. Ty chyba zrozumiesz, co czuje niebogie dziewczę, które ma jutro stanąć, jako druchna, obok najdzielniejszego w całej okolicy młodzieńca, a dziś musi mu wręczyć przewinięty modrą i czerwoną wstążką, osłonięty białą chusteczką rozmaryn i prosić go w imieniu panny młodej i pana młodego, aby stawił się jutro niechybnie z bukietem u surduta i nowiuteńką chustką w lewej kieszeni!

Stanęła i rozmyśla, jak się jej poselstwo powiedzie, jak doń przystąpi i co mu powie. Nie łatwą to, zaiste, rzecz do spełnienia zleciła jej panna młoda. Nawet chłopcy tracą zwykłą śmiałość wobec stolarza Pawła i pilne dają baczenie na każdy swój krok i słowo każde. Starają się oni wszyscy, ilu ich jest w Jesztedzie, naśladować we wszystkiem Pawła: jakie on kupi sobie ubranie, o takie i oni starają się natychmiast. Najzamożniejszy gospodarz oddałby mu chętnie córkę, chociaż on ma jeno chałupkę, na której nie cięży wprawdzie żaden dług i którą ojciec przepisał na jego imię na wiosnę, gdy stara stolarzowa w Bogu spoczęła. Obok chałupy ciągnie się pole Pawła, z okna może je widzieć, a za polem leży piękny kawał lasu. Rzemiosła uczył się Paweł w mieście, a teraz ma tyle roboty, że nadążyć z nią nie może. Ożenić się mógłby choć zaraz.

Wszystko to jednak drobnostka w porównaniu z jego mądrością. Rozumie wszystko, co piszą w gazetach, a na wiece jeździ konno, chociaż stara się, aby ojciec o tem nie wiedział. Tenby usiłował go przekonać, jako jazda to pańska rzecz, która rzemieślnikowi nie przystoi i tylko niepożądaną zawiść ku niemu w sercach innych budzi. Ale Paweł uważając siebie za obywatela, jest przekonany, że mu się to należy. Twierdzi przy tem, że w gminie tak książę jak chałupnik są sobie równi i nie zwraca uwagi na zrzędzenie ojca. I o tem wiedzieć nie godzi się staremu stolarzowi, że gdy syn spostrzeże w jakiej gospodzie gazetę, która występuje wrogo przeciwko ludowi, wydostaje natychmiast z kieszonki od kamizelki ołówek i kreśli na niej wielkiemi literami: *Grom i piekło, nadaremne są wszelkie wasze przeciwko nam wściekłe miotania się!* Ojciec obawiałby się, aby jakie przykrości stąd dla niego nie wynikły, ale młody ma lwią odwagę, nikogo się nie ulęknie i za dobrą sprawę wyzwałby cały świat do walki, chociaż wogóle rzecz biorąc, łagodny bywa, jak gołąbek i nawet muszki nie skrzywdziłby naumyślnie.

Gdy wioska urządza jaką wycieczkę, wówczas Paweł zwykle sztandar szykuje. I po innych wioskach chłopcy popisują się sztandarami, ale co tam u nich za chorągiewki! zupełnie jakby kto rzeszota nasadził na tyczki, barwy nawet takiej, jak należy, nie mają i szumu w nich nie ma żadnego. Natomiast sztandar Pawła zdaleka dojrzeć i usłyszeć można: furczy ludziom po nad głowami, niby najwspanialszy szum wiatru, a zawsze widnieje na nim piękne jakie hasło, albo: »Szczęść Boże!« czy też: »Nie dajmy się!« lub znowu: »Niech żyje nasza droga ojczyzna!«. Ludziom łzy w oczach błyskają na takie słowa.

Każdą dziewczynę zdejmowałaby trwoga, gdyby jej wypadło zanieść rozmaryn Pawłowi, bez względu na to, czyby to była córka wójta, Marysia, czy też Anulka ze dworu, jakżeby więc tedy nie zdejmował lęk Celki, córki grabarza, którą wszystkie dziewczęta wiejskie z góry traktują, z którą chłopcy tańczą wprawdzie chętnie, częstując ją gorliwie, ale do której żaden swatówby nie posłał, wiedząc, że rodzice nie mogliby jej dać ani makowego ziarka w posagu.

I znowu westchnienie pierś jej podnosi, a łezka z oka na białą chusteczkę leci. Ach, szkaradny to chwast ta nędza, a jednak niczem wygubić się nie da na ziemi — zbyt głębokie zapuściła w nią korzenie — jak twierdzi ojciec.

Veronka Adamówna życzy sobie koniecznie mieć za druchnę Celkę, o żadnej innej słyszeć nawet nie chce. Wzrastały razem, jakby siostry rodzone, wspólnie uczęszczały do szkoły i jednego dnia przeżyć bez siebie nie mogą. Od czasu jak Jontek do Veronki się zaleca, ta ciągle powtarzała przyjaciółce: »Pamiętaj, Celko, że jeżeli będzie chleb z tej mąki, w takim razie ty, a nie żadna inna, Jontka do ślubu poprowadzisz«. A teraz właśnie dała dowód, że ze szczerego to mówiła serca, a nie po to tylko, aby się jej przy-

podobać, bo oto wczoraj wieczorem wpadła nagle do Celki cała w płomieniach, tchu ustami złapać nie mogąc.

— Wiesz Celko — woła, usiąść nawet nie chcąc z wielkiego pośpiechu — że pojutrze ślub mój z Jontkiem? Dziaduś rozchorował mu się nagle, biedak do łóżka nawet położyć się był zmuszony i, jak sam utrzymuje, już z niego się nie podniesie. Ale nim odejdzie z tego świata, chciałby nas widzieć zaślubionych. Ksiądz proboszcz już się na to zgodził i jutro ogłosi naraz wszystkie trzy zapowiedzie. Gdybyś wiedziała, jakie u nas zamięszanie panuje! Krawiec najuroczyściej obiecuje na pojutrze ślubną sukienkę wykończyć. Gdyby mi tak święcie tego nie obiecał, musiałabyś mi sprzedać swoją, tę nową, wiesz, z czerwonem przybraniem. Byłabyś mi tego nie odmówiła, nieprawdaż? wiesz zapewne tak dobrze jak i ja, że nigdybym do niczego dobrego w życiu dójść nie mogła, gdybym wzięła ślub w starej sukni. Jutro pędzę z Jontkiem do miasta po wieniec i trzewiki, natomiast ty musisz pójść w mojem zastępstwie do Pawła. Zanieś mu piękne odemnie pozdrowienie, wręcz rozmaryn w tej oto nowej białej chusteczce i proś, aby jako najszczerszy przyjaciel pana młodego zechciał nam drużbować. Nie wątpię, że wywiążesz się ze zlecenia tak dobrze, jak gdybym osobiście Pawła prosiła. I sama szykuj się stanąć za druchnę.

Zaledwie skończyła mówić, już wyleciała z izby, jak gdyby sufit chwiał się jej nad głową, a Celka stała w miejscu, jak skamieniała. Przez długą chwilę patrzała przed siebie, nie mogąc się opamiętać... Ona, ona ma iść z Pawłem za druchnę?! Przyciska obu rękami serce, które bije jej w piersi niby młotem. O serce, serce, gdyby kto mógł nauczyć cię rozumu!

Myśleć nawet nie chce o tem, co ją oczekuje, mogłoby jej to do głowy uderzyć i wszystko tam pomięszać. I kto wie dokądby to ją zaprowadziło! Znana to i przez mądrych ludzi doświadczona rzecz, że myśli sprowadzają człowieka z drogi w słoneczny dzionek boży, jak to czynią błędne ogniki nocą. O, niebezpiecznie z niemi żartować!

Rozgląda się wokoło — jakież to śliczne popołudnie! Powietrze tak przejrzyste, że wzrok biegnie aż na koniec świata, a ciepłe, niby w maju. Ba, w istocie dzień dzisiejszy maj przypomina, dokąd rzucisz okiem, wszędzie kwiat wybłyska. Odmłodził tak świat deszczyk wczorajszy, który padał na ziemię miękki, niby jedwab, aż znowu zazieleniło się wszystko i rozwinęło. Hen, tam koło stosu zrzuconych w polu kamieni, czerwieni się kąkol, niebieszczy wroni groszek, na ściernisku pała koniczyna i powój, a nad wodą otwiera niezapominajka sto modrych oczek, z których każde jest jakby skrawkiem nieba. Niktby nie powiedział, że to dziś święto Matki boskiej siewnej. Wczoraj ochmistrzyni dworska oświadczyła czeladzi: »Skończyły się już podwieczórki, bo oto, patrzcie, dzikie gęsi odlatują do ciepłych krajów« * Wnet i dziewczęta zgromadzać się zaczną z kądzielą na wieczornice, bo owies w górach żółcieje, jak złoto*. A ptastwo dotąd tak figluje, tak dokazuje, jakby zima była jeszcze hen, za górami: i całe chmary muszek wzbijają się niby rój pszczół nad gęstwiną i tłuką w słońcu, a w trawie ruszają się jeszcze setki żuczków, każdy na inną pomalowany barwę. Jakże rozmaitą i liczną, zaiste, czeladkę posiada Bóg, a jednak żywi ją dzień w dzień, godzinę za godziną i o każdem z osobna pamięta stworzeniu. Jakże niezgłębionym być musi rozum a potężną miłość, które cały ogarniają świat!

I znowu staje i zamyśla się — nagle krzyknie i w bok się rzuci: coś prześliznęło się jej przez nogę, wąż lub też jaszczurka, jedno z dwojga, i błysnąwszy, jak złoto, w trawie się skryło. Czekajcie, czekajcie wy, potwory, poraz to ostatni dziś ludzi straszycie. Dzisiejsza Matka boska zamyka ziemię i zaklina w niej wszelkie straszydła. Od dziś dnia zarówno gady, jak gąsienice, osy i żaby tracą wszelką nad człowiekiem władzę. I dopiero w pierwsze swoje święto wiosenne, na tak zwaną Matkę boską roztworną, odemknie im znowu ziemię, aby mogły na niej spełniać to, do czego zostały stworzone. Wczoraj właśnie wieczorem długo tłumaczyła matka, że wszystko, co się na ziemi znajduje, poto tylko istnieje, aby ludziom szkodę lub pożytek przynosić. Podziwiała zarazem niezbadaną Mądrość, która światem rządzi: dziś jeszcze człowiek pilne musi dawać baczenie, idąc dokądkolwiek, ale już od jutra śmiało tak po łące, jak w lesie stąpać może, nie obawiając się, aby spotkało go co złego.

Tłumacz. z czeskiego

C. d. n. *M. W.*

Ideał panny Julji.

(Ciąg dalszy).

Długim, serdecznym uściskiem ściskał jej dłonie. »Jak najlepszy przyjaciel« — przemknęło jej w myśli; gdy nagle ów chciwy, drażniący płomień zabłysnął mu w oczach i tak uparcie wpił się w jej twarz i postać, że instynktownie cofnęła mu swą rękę i śpiesznie ku drzwiom się skierowała.

---

* Gdy dzień staje się krótszym, a w polu ustaje robota, wówczas wcześniej gotują po wsiach wieczerzę i czeladź nie jada podwieczórku. (Przyp. autorki).

* Dziewczęta schodzą się na wieczornice wówczas dopiero, gdy ostatnie mendle owsa zbiorą z pola. (Przyp. aut.)

— Nie gryź się tam pani nad miarę! Gdy tu się nie uda, gdzieindziej trafimy — słyszała jeszcze za sobą ciepłe, przyjazne słowa.

Nie mogła opędzić się przykremu wrażeniu dziwnej sprzeczności.

— Oto prawdziwy przyjaciel — mówiła do siebie, zbiegając szybko po schodach, lecz jednocześnie jakiś głos ostry wołał z jej głębi:

— Filister! filister!...

Nie dzień jeden, ale parę tygodni zeszło pannie Julji, zanim się jej sprawa cokolwiek naprzód posunęła. Nieraz w ciągu tego czasu musiała zabiegać do profesora, to dla zasięgnięcia rady, to dla zdania sprawy z danych poleceń, a codzień drżeć musiała, aby jej nie umknął. Zawsze jednak z niedającą się ukryć radością słyszała, jak mówił:

— Jeszcze na dni parę musiałem odłożyć swój wyjazd.

I twarz mu się rozjaśniała jakby odbiciem tego uśmiechu, który przy tych słowach wybiegał jej na usta.

Jego ciepła dla niej życzliwość zdawała się żadnej nie ulegać zmianie, zawsze widziała w nim oddanego na swe usługi przyjaciela.

Chwilami jednak uczuwała w tym stosunku coś, co ją niemal przerażało: jakieś nagłe jego mieszanie się, jakiś gorętszy uścisk ręki, a nadewszystko ten wzrok natrętny i palący. Były to wszakże chwile. Później wyrzucała sobie, że ma za żywą wyobraźnię, że »w jej wieku« śmiesznie poczuwać się do czegoś podobnego. Mógł mieć jakiś inny niepokój, jakieś przypadkowe roztargnienie; albo to mało przyczyn ku temu? Zresztą zdają się być z żoną zupełnie pogodzeni.

Tym ostatnim argumentem okłamywała samą siebie; w gruncie bowiem była przekonana, że między dwojgiem tak różnych ludzi, jak profesor i jego żona, zarówno zgody, jak niezgody być nie mogło, tylko rozdział nieprzejednany. Zresztą przelotne to były myśli; troska o brata pochłaniała ją tak dalece, że niewiele o czem innem mogła myśleć.

Nakoniec po tylu dniach męczącego niepokoju otrzymała jednego dnia krótki bilecik od profesora:

»Jutro o jedenastej będziemy mieli stanowczą wiadomość, czekam na panią«.

Jaka będzie ta wiadomość — równało się to dla niej niepewności wyroku. Noc całą przebyła bezsennie, przechodząc wszystkie szczeble od nadziei do ostatniego zwątpienia; ledwie nad ranem na parę godzin usnęła. Gdy się zbudziła, ranek już był późny, ze dwie godziny tylko dzieliły ją od rozstrzygającej chwili. Aby jakoś czas zabić, wybiegła przejść się do ogrodu. Tu, w cienistych alejach chłód jeszcze miły panował. Świeżość powietrza, roślinne aromaty, wreszcie sam widok pogodnie zbudzonego dnia orzeźwił ją i natchnął jaśniejszemi myślami. Nadzieja mimo jej wiedzy, coraz silniej nią owładnęła. Ten nastrój umysłu odbił się na niej fizycznie. Blade policzki pokryły się świeżym rumieńcem, oczy pełne myśli jak gwiazdy błyszczały z pod cienia długich rzęs. Cała postać wysoka i pełna miała tę miłą dla oka gibkość poruszeń, świadczącą o pełnem wszystkich sił rozwoju. Równym, lekkim krokiem przechodziła aleje, nie zwracając uwagi na przechodniów, którzy z zajęciem oczami za nią wiedli. Bardziej z przyzwyczajenia, niż z rozmysłu schyliła się i zerwawszy parę dzwonków nad dróżką rosnących, zatknęła je sobie za guzik stanika. Czuła się całkiem harmonijnie dostrojoną do tego gorącego już, a jeszcze pełnego świeżości przedpołudnia letniego, pełnego życia i blasków.

W ciszy jakiś podmuch lekki przyniósł uderzenia wieżowego zegara. Dobywszy swego zegarka przekonała się z przerażeniem, że już jest jedenasta. Biegnąc niemal, rzuciła się do drzwi ogłodu; tu skinęła na dorożkę i nagląc o pośpiech, a oczami wybiegając naprzód, szybko puściła się w drogę. Za chwilę trochę niespokojna i wzruszona stanęła przed mieszkaniem profesora.

Od paru godzin profesor znajdował się już w swym gabinecie; jeszcze raz przeczytał podany mu zrana list w sprawie panny Julji, odłożył go na bok, zatarł ręce z wesołym uśmiechem — i nagle posmutniał. Jakaś myśl przykra aż do bólu musiała do głębi go poruszyć; wydał się naraz o dziesiątek lat starszym. Opanowując się, wziął książkę, pióro i zaczął pisać. Po chwili jednak oczy jego nieruchomo zawisły na otwartej karcie; myślą uleciał daleko. Drzwi gdzieś stuknęły na dole; drgnął i oczy niespokojnie na zegar skierował. Odtąd już ani pracować, ani przeszkodzić oczom, aby ku zegarowi biegły, nie był w stanie. Wstawał, chodził po pokoju, porównywał zegarki, poczem przy oknie zatrzymywał się i niby patrząc na przesuwające się nad drzewami obłoczki, co chwila łapał się na wytężonem strzeżeniu furtki dziedzińcowej. Furtka otwierała się często; to stróż wchodził, to kucharka z targu wracała, to wreszcie »handełes«; profesor zły na siebie, a w gruncie na nich, od okna nachmurzony odchodził i za chwilę znowu stał przed niem.

— Gotowa się spóźnić — wyrzekł półgłosem, oburzony na samą myśl tego grzechu o pomstę wołającego. — Kobiety nigdy nic akuratnie wykonać nie umieją,

Spojrzał na zegar i ze zdziwieniem przekonał się, że jest zaledwie wpół do jedenastej. Zaczął gorączkowo chodzić po pokoju.

— Doprawdy, chyba rozum tracę — rzekł, siląc się na ironję.

Powiódł ręką po czole, dłoń stała się wilgotną.

— Więc tak! — wybuchnął nagle. Może to być rozumnie albo nie, ale fakt jest, więc być

musi!... Jestem człowiekiem, jak wszyscy inni, mam prawo być szczęśliwym!

Podniósł czoło do góry i niecierpliwie ręką po bujnej brodzie przesunął. Wyjaśnienie położenia zdawało się wszelkie wątpliwości przecinać. Przeszedł się jeszcze parę razy po pokoju i powrócił do książki. Czytał czy marzył, możeby sam nie umiał określić, stał się jednak spokojniejszym i czas mu prędzej przechodził.

Nareszcie! Turkot dorożki umilkł przed jego domem. Nie widząc, wiedział, kto przybywa. Z zapartym w piersi oddechem siedział, bojąc się poruszyć, nie odwracając oczu od książki. Z pod spuszczonych powiek wzrok sypał skrami.

Dzwonek — zna to energiczne szarpnięcie! Porwał się, i blednąc nagle, oczy wbił w drzwi.

Otworzyły się. Lekka, zgrabna, uśmiechając się wzrokiem i ustami panna Julja jakby płynęła ku niemu. Cała świeżość poranku wtargnęła z nią; w pokoju zrobiło się nagle jasno, gwarno, wonno; tysiąc jakichś głosów zawołało; ona! ona! ona!

Profesor stał ciągle, obiema rękami ściskając poręcz krzesła; niepewny uśmiech błąkał się mu po wargach.

— Więc cóż, więc jakże? — pytała panna Julja, rękę ku niemu wyciągając.

Profesor dotknął ręki, a oczyma na pełnych jej ustach zawisnął.

Zaniepokoiła się jego milczeniem.

— Jest już wiadomość? — spytała, i głos jej drgnął nieco. — Jakże?

Jakby się ze snu obudził.

— Wiadomość? A! mam ją, mam.

Niezręcznie, siląc się ukryć swój niepokój, zaczął na stole przerzucać papiery.

— To jest pewnie — wtrąciła panna Julja. Biała ręka przesunęła się tuż nad jego rękami, dotykając zarzuconej koperty.

Profesorowi w oczach pociemniało.

Opanował się jednak, podniósł kopertę i w milczeniu, z półuśmiechem patrzał na pannę Julję.

— Panie — szepnęła, niepewna jeszcze, ale już domyślając się szczęśliwej nowiny. — Czytajże mi pan prędzej — dodała żywo i cała drżąca niecierpliwością pochyliła się ku niemu.

— Czytać? Czy mam czytać? — bąkał profesor.

— Prędzej, prędzej — nagliła, pochylając się wciąż nad listem; ciemny warkocz lekko rozrzucony na wietrze, mignął mu przed oczyma.

Wysunął szybko list z koperty i głosem stłumionym, słów nie rozumiejąc, czytać zaczął wszystko, od daty, aż do podpisu.

List był trochę zadługi, lecz stanowczo głosił rezultaty starań: przyjęcie Adama do szkoły w L.

Profesor skończył i zdziwiony ciszą, oczy na pannę Julję podniósł.

Siedziała na nizkiem krzesełku tuż obok biurka, z twarzą w obu rękach ukrytą. Postąpił ku niej.

— Panno Juljo, pani... pani moja! — wyszeptał, pochylając się nad nią.

Zdawała się nie słyszeć; ramiona jej drżały lekko.

— Boże mój, ona płacze! — zawołał zrozpaczony i ujął jej ręce.

Dok. n. *W. Dalecka.*

Z NIW SŁOWIAŃSKICH.

Nasza nieznajomość spraw słowiańskich. — Świętopełk Czech i jego »Pieśni niewolnika«. — »Polonica« na uniwersytecie praskim. — Lubomir Nenadowić. — »Rodzina Połanieckich« w Rosji.

Nieznajomość nasza stosunków słowiańskich jest wprost zdumiewająca. Gdyby jeszcze chodziło o rzeczy dalsze, o sprawy serbskie lub bulgarskie, no, toby się dało jeszcze jakoś wytłumaczyć. Ale my nie wiemy zupełnie, co się dzieje u naszych sąsiadów najbliższych, Czechów, nie wspominając już wcale o Słowakach. Niedawno n. p. Rada szkolna krajowa ogłosiła sprawozdanie, dotyczące średniego wykształcenia kobiet, z którego dowiadujemy się, że jedyne, istniejącej w Austrji, gimnazjum żeńskie znajduje się we Wiedniu. Ponieważ zaś gimnazjum to składa się dopiero tylko z trzech klas, więc brak wszelkich danych do orzeczenia, czy gimnazjum żeńskie wogóle przyda się na co. Rada szkolna krajowa nie ma więc najmniejszego pojęcia o tem, że Czeszki w Pradze posiadają całkowite gimnajum żeńskie, składające się z ośmiu klas, którego wychowanki już w tym roku zasiadają do matury i poczną energicznie kołatać u podwoi wszechnicy praskiej. Z powodu takiego braku znajomości spraw czeskich, dziewczęta galicyjskie muszą jeszcze czekać lat pięć, zanim gimnazjum wiedeńskie będzie uzupełnione, a nasza Rada szkolna krajowa osądzi, czy warte coś wykształcenie średnie kobiet.

Inny fakt. Przed kilkoma miesiącami w Pradze ukazał się zbiorek natchnionych poezji Świętopełka Czecha p. t. »Pieśni niewolnika«. Zbiorek ten malujący w formie alegorycznej cierpienia narodu czeskiego, a napisany nie bez pewnego zacięcia socjalistycznego, wywarł potężne wrażenie. Pierwszy nakład został rozchwytany w ciągu trzech dni. Po tygodniu rozeszły się już cztery wydania, a od tego czasu co tydzień ukazywało się nowe, tak, że obecnie właśnie na półkach księgarskich spoczęło już dwudzieste. Posypały się adresy dla Czecha od młodzieży, robotników, różnych korporacji i stowarzyszeń, mianowano

Čecha członkiem honorowym różnych towarzystw i t. d. U nas nikt o tem nie wiedział. Natomiast ciekawy czytelnik mógł czytać prawie we wszystkich pismach galicyjskich, że w Pradze wyszedł zbiorek »Pisnie otroka«, zawierający mnóstwo ustępów bardzo drastycznych, tak, że prokuratorja państwa musiała go skonfiskować, ale uczyniła to dopiero przy dziesiątem wydaniu. W ten sposób zostało zatamowane rozszerzanie się rewolucyjnych poezji, a autor ich, Św. Czech, obawiając się przykrości, zmuszony był umykać do Włoch. I takie rzeczy piszą się u nas o sprawach nie w Kochinchinie lub na Madagaskarze, ale o literaturze narodu, którego język jest nam zrozumiały prawie bez przygotowania!

Wobec takiego lekceważenia spraw słowiańskich nic dziwnego, że przeminęła bez żadnego echa u nas śmierć jednego z najwybitniejszych poetów południowo-słowiańskich, Lubomira Nenadowića, który nas obdarzał w swoich poezjach szczerą sympatją. Lubomir Nenadowić urodził się 14 września 1826 r. w miasteczku Valjevo na północnym zachodzie Serbji. Jego ojciec, ksiądz prawosławny, był jednym z najwykształceńszych ludzi swojego czasu w Serbji i brał czynny udział w wybiciu się narodu serbskiego z pod jarzma Turków. Pod dozorem ojca otrzymał Lubomir wzorowe i wszechstronne wykształcenie. Gimnazjum ukończył w Belgradzie, tak samo jak i liceum prawnicze. Następnie udał się do Pragi, studjował czas jakiś w Berlinie i Heidelbergu, mieszkał dość długo w Genewie i w Paryżu, gdzie słuchał wykładów w *College de France* i w Lizbonie. W r. 1848 wrócił do ojczyzny i został profesorem w gimnazjum belgradzkiem. Ale już we dwa lata później znowu wyruszył w podróż, był w Anglji i we Włoszech, gdzie się poznał ze sławnym władyką czarnogórskim Piotrem II. Nieguszem. Powróciwszy do Serbji, otrzymał posadę archiwisty i protokolanta w ministerjum oświaty. W r. 1858 został sekretarzem poselstwa serbskiego w Konstantynopolu, odbył wycieczkę na górę Atos, a powróciwszy do Serbji, czas jakiś był zastępcą ministra oświaty. W r. 1866 z powodu choroby złożył swój urząd i udał się do miasteczka rodzinnego Valjevo, gdzie mieszkał aż do śmierci, od czasu do czasu tylko odwiedzając Niemcy, Czarnogórze i Rosję. Zmarł 21. stycznia 1895.

Pierwsza poezja jego została umieszczona w piśmie »Podunavka« w r. 1843. Nenadowić odznaczał się wielką płodnością, a od r. 1849 od 1860 ukazał się cały szereg jego prac wierszem i prozą. Znaczenie jego w literaturze serbskiej da się przyrównać do znaczenia K. Brodzińskiego w naszej. Nenadowić miał wielki wpływ na wyrobienie się literackiego języka w Serbji. Jego dzieła doczekały się dwukrotnego zupełnego wydania. W Serbji był on osobistością nadzwyczaj popularną, a każdy, nawet nie umiejący czytać Serb znał i kochał »cziky Ljubu« (stryjka Lubę).

Że inni Słowianie bardziej starają się poznać nas, niż my ich, świadczy chociażby następujący fakt. Na uniwersytecie czeskim w r. szkolnym 1894-95 były następujące wykłady, rzeczy naszych dotyczące. Dr. J. Polivka wykłada gramatykę historyczną języka polskiego, dr. Kolarz gramatykę języka polskiego z ćwiczeniami praktycznemi; prof. J. Vrchlicki wykładał w pierwszem półroczu o »Dziadach« Mickiewicza, zaś dr. Machal w drugiem półroczu zapoznaje swych słuchaczów z »Mickiewiczem i jego epoką w literaturze polskiej«. Oprócz tego prof. Masaryk w seminarjum filozoficznem ma rozbierać problem faustowski w literaturach europejskich, przyczem zwracać będzie uwagę na »Nieboską Komedję« i »Irydjona« Z. Krasińskiego. Jak na uniwersytet czeski zdaje się, że tego dosyć.

Co się tyczy Rosjan, to ci coraz bardziej zajmują się naszą literaturą. Świadczy o tem fakt, że ostatnia powieść H. Sienkiewicza ukazała się naraz w trzech wydaniach: w Petersburgu, w Moskwie i w Kijowie. Oprócz tego »Rodzinę Połanieckich« drukowały poprzednio już dwa pisma rosyjskie »Siewiernyj Wiestnik« w Petersburgu i »Russkaja Mysl« w Moskwie.

L. Wasilewski.

Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Piotr Chmielowski. »Zarys najnowszej literatury polskiej (1864—1894). — Wydanie trzecie, przejrzane i znacznie powiększone. — Kraków-Petersburg 1895. Str. XXI. + 484.

Nareszcie ukazało się oddawna zapowiadane, a z niecierpliwością oczekiwane trzecie wydanie nadzwyczaj cennej pracy dra P. Chmielowskiego, która stanowi u nas jedyny zupełny obraz całego naszego dorobku literackiego w dobie popowstaniowej, przedstawiony na szerokiem tle społecznym.

»Zarys« rozpada się na dwie części. W pierwszej autor odmalował ewolucję i ścieranie się różnych prądów umysłowych, nurtujących w społeczeństwie polskiem wszystkich trzech zaborów, w drugiej zaś dał treściwą charakterystykę autorów polskich od poetów i powieściopisarzy poczynając, a na uczonych kończąc.

W porównaniu z wydaniem drugiem (»Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu«) dzieło to urosło bardzo znacznie wskutek uzupełnień.

Skreśliwszy szczegółowo dzieje zapasów literackich »starych« z »młodymi« w Warszawie, odmalowawszy działalność pozytywistów w Królestwie a stańczyków w Galicji, dr. Chmielowski przechodzi do charakterystyki najświeższych objawów w społeczeństwie naszem, a więc do zajęcia się klasą robotniczą i ludem. Z przyczyn całkiem zrozumiałych opowiada dr. Chmielowski bardzo krótko i nadzwyczaj pobieżnie jak przenikały prądy socjalistyczne do społeczeństwa

polskiego, jak socjalizm wywołał ostrą krytykę haseł »pracy organicznej«, następnie przechodzi do charakterystyki kierunku reprezentowanego przez »Głos« warszawski. Objawy analogiczne w Galicji traktuje dr. Chmielowski zbyt powierzchownie. Tak np. nie znajdujemy ani słówka o »Przeglądzie społecznym«, którego istnienie, choć krótkotrwałe, miało wpływ nader doniosły, natomiast »Kurjer Lwowski« uważa za propagatora teorji Marksa. Wyliczając pisma socjalistyczne w Galicji, wymienia »Naród« (przedtem »Stany«), który z socjalizmem nie ma nic zgoła wspólnego.

Charakteryzując prasę warszawską, twierdzi dr. Chmielowski, że »Prawda« surowo występuje przeciwko mrzonkom socjalizmu. Zdanie to nie wydaje się nam zupełnie słusznem, ponieważ właśnie w »Prawdzie« występują wszyscy zwolennicy materjalizmu ekonomicznego, jak L. Krzywicki, L. Winiarski i inni.

Dalej zaznacza dr. Chmielowski protest uczucia i fantazji przeciwko powierzaniu spraw społecznych samemu tylko rozsądkowi zimnemu i wyrachowanemu, przeciwko zamykaniu dążeń w ciasnym zakresie dobrobytu materjalnego. Następnie charakteryzuje czyli właściwiej przytacza wyrazy zgrozy, oburzenia i nawet rozpaczy, wypowiadane przez krakowskich obskurantów i wsteczników na widok coraz bardziej szerzących się w społeczeństwie idei postępowo-demokratycznych. Na zakończenie pierwszej części omawia pokrótce ten zwrot ku dziedzinie tajemnic, który się daje spostrzegać w ostatnich czasach. Część pierwszą zamyka spis czasopism polskich, spis bardzo sumienny, ale pewnych braków nie pozbawiony.

Charakterystyka tak prądów umysłowych jak i wybitnych działaczy na polu naszej literatury odznacza się wielką objektywnością, bezstronnością i jest pozbawiona wszelkich cech jakiejś stronniczości nawet tam, gdzie autor ma do czynienia ze zjawiskami tak wstrętnymi jak działalność p. Masłowskiego lub utwory wyroczni krakowskiej, hr. Stanisława Tarnowskiego, potrafi utrzymać się na stanowisku zupełnie bezstronnem.

Dwa skorowidze (nazwisk i wydawnictw) bardzo ułatwiają orjentowanie się w bogatej treści dzieła, które jest niezbędnym podręcznikiem dla każdego, kto chce zapoznać się z ostatnim okresem ruchu umysłowego w Polsce.

»Zarys« ma wyjść w przekładzie czeskim.

L. Wasilewski.

Przegląd pism.

»Kwartalnik historyczny«. — Zeszyt II. — 1895.

Z wyjątkiem niewielkiego, bo zaledwie kilkanaście stronic zajmującego artykułu A. Winiarza, dotyczącego statutów Kazimierza Wielkiego, i »Miscellaneów« cały zeszyt II. »Kwartalnika« poświęcony jest różnym działom sprawozdawczym.

Nie świadczy to zbyt pochlebnie o Towarzystwie historycznem a raczej o pracach historycznych jego członków, zwłaszcza gdy się zważy, że i dział sprawozdawczy leniwie podąża za ruchem naukowym historycznym. W omawianym bowiem zeszycie znajdujemy recenzje o pracach z roku 1890!

W Miscellaneach zasługuje na uwagę notatka Anatola Lewickiego o pseudo-warneńczykach, w której autor zbiera wszystkie znane dotychczas ustępy źródłowe do tej sprawy się odnoszące, dodając do niej nowe przyczynki.

I tak, Józef Dobrowski w liście do J. S. Bandtkego przytoczył z kroniki czeskiej Pawła z Pragi Zidka, nominata ołomunieckiego, następujący ustęp: »Polaczek jeden wtedy, jak Władysław pod Warną zginął, imieniem Rychlik, udawał się za króla polskiego, jakoby się po upłynieniu lat 15 zjawił i pokazał się w Poznaniu, oświadczając, że on jest królem. Ale pan wojewoda Łukasz poznał wnet, że to nie król, ale łgarz, i chciał go stracić. Lecz panowie starsi tegoż kraju nie dopuścili do tego, lecz odłożyli to na roki walne królewskie. Potem nastąpił sejm, a gdy królowa stara zaparła się, że to jej syn, kazano mu zatem zrobić koronę papierową, stać w niej pod pręgierzem i dwa razy na dzień smagać go rózgami, a potem chowali go w więzieniu poczciwie aż do śmierci, aby nikt o nich nie mówił, że króla swego umorzyli«.

Autor pamiętnika z podróży czeskiego pana, Leona z Rozmitalu, odbytej w początku drugiej połowy XV. w. spotkał się w Hiszpanji w r. 1466 koło jakiejś wsi w pobliżu Canta la Piedra z pustelnikiem, którego miano za króla Władysława, pokutującego za złamanie przysięgi (na rozejm) i którego, chociaż się wypierał, jakiś Polak, Leona towarzysz, poznał po sześciu palcach na nodze.

Także Kallimach w »Żywocie Grzegorza z Sanoka« wspomina, że podobne gadki chodziły po świecie.

P. Lewicki przytacza 3 listy z archiwum miejskiego we Wrocławiu z r. 1452, pisane z powodu pojawienia się jeszcze jednego samozwańca, udającego króla Władysława. Był to ptaszek dobrze znany, włóczęga i łotr, (niejaki Jan z Wilczyny koło Ryczywołu) który oszustwo samozwańca obrał sobie za specjalność, udając kolejno księcia Leona, siostrzeńca księżny mazowieckiej, następnie księcia Ostrogskiego. Około Wielkanocy 1451 r. udał się do Niemiec, do stron nadreńskich i stąd wracając począł udawać króla Władysława. Dopiero w Międzyrzeczu go poznano, pochwycono i okutego do Poznania odprowadzono.

p.

PRO MEMORIA.

23. kwietnia 1794. Wybuchło powstanie w Wilnie pod dowództwem Jakóba Jasińskiego i wyparło załogę moskiewską z miasta.

25. kwietnia 1794. Powieszono w Wilnie hetmana Kossakowskiego, zdrajcę, targowiczanina.

26. kwietnia 1848. Jenerał austrjacki Castiglione bombardował Kraków.

26. kwietnia 1849. Józef Wysocki odniósł zwycięstwo pod Komarnem na Węgrzech został mianowany jenerałem.

26. kwietnia 1865. Ujęty został ks. Brzoska, partyzant na Podlasiu, który najdłużej opierał się przemocy moskiewskiej.

29. kwietnia 1848. Bitwa pod Książem w Poznańskiem.

29. kwietnia 1863. Świetne zwycięstwo Taczanowskiego pod Pyzdrami.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.